№ 5. Warszawa, dnia 1 Lutego (20 Stycznia) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy.)

Ale zarazem dźwięk przekory, płynący bądź z instynktowego poczucia nad sobą wyższości tego człowieka, bądź przez kaprys sprzecznej, niesfornej natury młodej dziewczyny, odezwał się w niej i objawił w rażącej dosyć formie.

— I co? Rezultaty świetne? Ustrzegłeś się wszelkich wad, nabyłeś mnogich cnót — mówiła wpół żartem, wcale nie pozbawionym odcienia ironii, — no i nie jesteś marzycielem — dokończyła tym samym tonem.

— W zakresie pracy i celów życiowych, zapewne.

— A pod względem uczuć? — dorzuciła nagle, pochylając się ku niemu.

— Pod tym względem, o bezstronną ocenę trudno. Zresztą ścisłość sądu od tego zależy, co kto poczytywać będzie za mrzonkę, a co za pragnienia uprawnione, z ludzkim ustrojem zgodne, i do zdobycia możliwe.

— A, cobym dała, aby wiedzieć czy się kochał? cobym dała! — pomyślała żywo, śląc ku niemu wzrok, ale pytać nie ośmieliła się jakoś.

On bowiem z niezmienną powagą w rysach patrzył gdzieś daleko, w bok zwrócony.

Postąpiła też, bezwiednie wprawdzie, ale zupełnie na podobieństwo dzieci rozpieszczonych, które przywykłszy sobą wyłącznie się zajmować, nie znoszą, by odrywano od nich uwagę, i urządzają niespodziane wybryki.

— Nie palisz? — zawołała naraz, sięgając po inkrustowaną szkatułkę z papierosami.

— Czyżbym sobie na to wobec damy pozwolił? Ona potrząsnęła głową.

— Ah, przesąd! poświęcenie zbyteczne! Zapal! Albo nie, patrz! ja przełamię formy! — rzuciła żywo, i porwawszy świecę, podała mu papieros, który pociągnęła sama.

— Jakto? palisz ty?

Srebrny, głośny śmiech rozległ się w odpowiedzi.

— Co za ton zdziwienia i zgrozy. Nie palę, ale bądź przekonanym, że nieby mnie nie powstrzymało od tego, gdyby.. gdyby tytoń wydawał woń heliotropu, albo konwalii — dodała rozgorączkowana. — Szalenie lubię widok ognia, i to od dzieciństwa. Do dziś pamiętam, jak się zachwycałam, gdy w oczach moich spłonęła stodoła. Ah, gdybyś wiedział! Ta wspaniałość pożaru, te złociste słupy, a potem nicość, garść popiołu. Pytałam podobno, czy tak codzień będzie. Szukałam iskier, dymu, łuny, i w końcu uprosiłam pokojową, że mi stos papierów spaliła w ogrodzie.

— I doświadczyłaś rozczarowania?

— Rzecz prosta. O, bo żeby mnie zadowolić, należało po stodole spalić wieżę kościelną, całą wieś, lub suchy las! — mówiła z drgającym na ustach uśmiechem.

— I ja spłonę... tak, spalę się nie wiedzieć kiedy i dlaczego — podjęła po krótkiej przerwie. — To jest, nie myśl, że pochłonie mię zwyczajny ogień z pieca, lub pożar teatru, czy miasta, ja spalę się duszą, sercem, jeśli je mam, a wreszcie czy ja wiem czem? Spalę się, ot tak — powtórzyła, przysuwając do płomienia świecy, wyrzuconą z pudełka cukierków bibułkę, która w palcach jej zamieniła się w jeden krwawy zygzak, i na dłoń opadła szczyptą czarnego pyłu.

— I ot zostanie ze mnie tyle pożytku i śladu! — roześmiała się, zdmuchując popioły.

Oroński patrzył w nią z natężoną uwagą człowieka, który przywykł głębiej zastanawiać się nad każdem zjawiskiem, a w tej chwili znajduje się wobec zupełnie dla siebie nowego.

Gdy zerwała się, wstał i on. Gdy palce przytknęła do płomienia, bezwiednie wyciągnął rękę, chcąc ją wstrzymać, ale słowa nie rzekł, i niczemu nie zapobiegł.

Ona też poczuła pewien swój tryumf, to zapanowanie nad nim poprostu wrażeniem, jakie wywołała. Dumnie potrząsnęła głową, odrzucając w tył niespokojne kędziory, i spojrzała mu w głąb oczu.

— Jesteś dzieckiem, jak widzę — zaczął Oroński zwolna. — Dzieckiem w tem znaczeniu, że igrasz z życiem, jak z zabawką, i gotowaś je zniszczyć, jak malec cacko swoje, może dla samej przyjemności niweczenia.

— Bo co mi po niem? I co ono warte? zresztą to moja własność, zbraknie życia, to mnie zbraknie, i koniec! — mówiła z pewnem bądźcobądź zasępieniem w rysach.

— Zresztą mylisz się, bo ja nietylko się bawię — rzuciła po chwili, zdradzając tem, że jednak nie właściwie zrozumiała myśl jego uwagi.

I poczęła mu opowiadać, jak wiele czasu poświęca rozmaitym studyom.

Tu wszakże ruch zrobił się za drzwiami, na progu stanęła Hela Bończuk, która, jakby na potwierdzenie jej słów, wstąpiła zabrać ją na jakąś wieczorną lekcyą.

Rozmowa przerwała się. Jakkolwiek bowiem Ada gotowa była poskromić zapał do nauki, i pozostać w domu, byle Orońskiego zatrzymać, on wszakże tłómaczył, że i tak nadużył przywilejów pokrewieństwa, przedłużając nadmiernie wizytę, i pożegnał się natychmiast.

Panny pozostały same.

Janusz tymczasem zbiegł ze schodów krokiem giętkim, młodzieńczym, i szedł, szedł przed siebie, zadumany, choć bez najmniejszej świadomości

swych myśli, jak człowiek, który wydostał się z odurzającej atmosfery na chłodne powietrze, i czuje to z przyjemnością, ale jeszcze nie trzeźwieje, unosząc wspomnienie narkotyku, któremu uległ.

Tak minął jedną ulicę i drugą. Wtem drgnął zlekka.

Tuż obok przemknęła postać kobieca dość wysoka, zręczna, której rysy ginęły w wieczornym mroku, słabo rozproszonym światłami latarni, ale ogół kształtów zaznaczał się wyraźnie i powabnie.

— A! sądziłem, że to Ada, lecz zkądżeby? — Pomyślał, i odrazu się zreflektował.

I dopiero w tej chwili poznał, że jej obraz, jak cień własnej postaci, towarzyszył mu w duszy nieodłącznie, plącząc się niby żywy pomiędzy migającemi sylwetkami przechodniów ulicznych.

— Dziwaczna dziewczyna, ale zajmująca! — myślał już teraz świadomie.—Zgubi się!... Temperament, czy rozigrane nerwy? A pociągająca i prześliczna!... Nie! *ce n'est pas le mot.* Nadto w niej drażniącego pierwiastku. I nie piękna, rysów tam nie ma, choć ów cienki, garbaty nosek o ruchomych nozdrzach... *Diabolique* Ale i to nie. Chciałoby się ją wziąć, jak dzieciaka, przytrzymać i pieścić... Ale ona zginie bez ratunku, bodajbym złym był prorokiem. Czyżby dziedzictwo po matce być miało? Nie, to natura odmienna, dość spojrzeć na usta dumne, odporne, a mało namiętne. Tylko nieszczęsne piętno naszej epoki. Łaknie wrażeń, gorączką się strawia, żadnych hamulców, brawury wiele, jakbym widział... „Pożaru wieży, lub lasu" jej trzeba... ho! ho! Matka nie była tak wymagającą... Ta już dzieckiem zawracała głowy, jak wicher żywa. Ileż ona ma lat? Sześć czy siedm odemnie młodsza, więc ze dwadzieścia cztery najwyżej, młodo wygląda... Oni wszyscy tacy, jedna Jadwiga trochę inna. Ale Wit?... Niedołężnemu, własnemu ojcu kąta przy sobie nie dał... A szkoda jej! Gdyby tak się dostała w dobre ręce — rzucił w końcu, tak chaotycznie formułując wrażenia i uczucia, które go przejmowały.

Palił papierosa jednego za drugim, i przez roztargnienie wsadzał papierośnicę w coraz inną kieszeń, tak iż w końcu, gdy wszystkie przetrząsać zaczął, przez pomyłkę wyjął i rozłożył notes, z którego wyleciała kartka.

Podniósł ją machinalnie, i obejrzał.

— Prawda! Miałem kupić nuty dla panny Maryi! A! te sprawunki! — dorzucił, choć zazwyczaj spełniał je chętnie, i sam się z usługami ofiarowywał.

— Nie ma rady, trzeba wrócić!

I z Wierzbowej cofnął się ku Krakowskiemu-Przedmieściu.

Wszedł do księgarni.

— Wiecznie koncerty Mendelsohna, Bacha — zauważył, odczytując kartkę, — ale Marya tylko to lubi, cóż robić.

Z pewną niecierpliwością dawał rozporządzenia, polecając odesłanie paczki do hotelu.

Sam zaś wyszedlszy, zastanowił się przed drzwiami sklepu, dokąd podążyć.

— Sacrebleu! Toż posiedzenie dzisiaj! Zapomniałem! Wpół do ósmej, ledwo czas na herbatę.

Zwrócił tedy kroki w stronę cukierni, a duchem pogrążył się w sprawach przemysłowych, jakie miano omawiać na sesyi w Muzeum. Przypomniał sobie zlecenia pana Roger, i porządkował w głowie własne uwagi i wnioski, z którymi zamierzał wystąpić.

Po chwili jednak znów odskoczył myślą.

— Dla czego nie powiedziałem jej, żem zaręczony z Maryą? Doprawdy nie pojmuję! — dziwił się. — A gadałem co niemiara.

I tu poczuł już wyraźnie zupełne niezadowolenie ze siebie, a jak mu się wydawało i z całej rozmowy i wizyty. Zły był, wiedział o tem; tylko nie wiedział czemu, o co, na kogo?

— Co, u dyabła! czy i we mnie już nerwy grać zaczną „niewiadomą" irytacyą wbrew mej woli? — myślał, raz wraz kłęby dymu puszczając przed siebie.

I dopiero znalazłszy się na zgromadzeniu, zatracił uczucie nienormalnego nastroju swojego.

III.

„Paroksyzm projektów," jak wyraziła się pani Darska, istotnie opanowywał niekiedy Adę. I pod jego wpływem wymyśliła naukę rzeźbiarstwa, gdyż studya nad pejzażem z natury należało odłożyć do pory zupełnie ciepłej.

Oczywiście wydawało jej się, iż z „onej gliny," z „niczego," jak mówiła, będzie z łatwością tworzyć dzieła wielkie, i w tej pracy samoistnej, w urabianiu czegoś pod palcami własną siłą i zdolnością, znajdzie dopiero zadowolenie prawdziwe, a nawet rozkosz, jakiej nie dawało jej to „mazanie na atłasie i na drzewie," które uprawiała w szkole pani Zofii.

Zapragnęła tedy myśl powziętą natychmiast w czyn wprowadzić.

Co prawda, Hela wtajemniczona w ten zamiar, pożartowywała z jej gorączki, a poniekąd i zarozumiałości, dowodząc, że z nowych studyów powstaną jedynie wszelakiego rodzaju nowe „arcygłupstwa" nie „arcydzieła." Ależ Hela Bończuk usiłowała zawsze głowę trzymać „buńczucznie" i na wszystko z zasady patrzeć „krytycznie," chlubiąc się umysłem chłodnym i trzeźwym.

Skoro wszakże przyszło do tego, że Ada stawiając na swojem, zamierzyła udać się z prośbą o lekcye do jednego z rzeźbiarzy miejscowych, panna Hela postanowiła jej towarzyszyć w tej wyprawie, z ciekawości. Ludzie żywi zajmowali ją niemniej od dzieł drukowanych, które pochłaniała chciwie; a wiadomo, że artyści i literaci w przekonaniu kobiet są specyalnie interesującymi okazami, do oglądania.

Pietro Vico, który miał się stać przedmiotem zabiegów panny Smieńskiej, nie używał wprawdzie opinii wyjątkowego oryginała. Raczej uważanym był za zacofanego idealistę, zwłaszcza między młodymi i za „abstrakta," jak się wyrażało wielu.

Poprawdzie żył on więcej w pracowni niż wśród ludzi, i dowodził, że w świecie rozdrabnia się, i bruka ideały, niweluje uczucia, i zatraca nawet samo najczystsze poczucie tego, co piękne i wzniosłe, ponieważ o wielkie dusze równie trudno jak o doskonałe kształty. Trwał też w przekonaniu, iż artysta winien rzetelny pierwowzór piękna we własnej duszy piastować i tyle tworzyć własnym polotem, by z rzeczywistością utrzymywać jedynie spójnię potrzebną, do rozumienia dążeń i ducha czasu, któremu się swoje dzieła oddaje. Ale w głąb' tej rzeczywistości nie zazierać zbyt chciwie, i raczej przyjmować podawane złudzenia, byle estetyczne i szlachetne, niż poszukiwać wszędzie istotnej, a nagiej i często szpetnej bardzo prawdy.

Po za tem Pietro Vico miał ustaloną sławę zdolnego i sumiennego artysty, poleciła go zaś Adzie pani Darska, osobista jego znajoma.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY.

(Dokończenie.)

D-r Julian Ochorowicz: O medyumizmie.

W drugiej pogadance swojej pomieścił prelegent opis zjawisk medyumicznych niższego i wyższego rzędu, oraz zapoznał słuchaczów z hypotezą własną, która w sposób mniej lub więcej zrozumiały dziwne te zjawiska objaśnia.

Pomijam grupę pierwszą jako ogólnie znaną i przez naukę wytłómaczoną, a zatem mniej przedstawiającą interesu. Zaznaczę tylko, że doktór Ochorowicz zaliczył do niej wszystkie te objawy, które bądź zmęczeniem mięśni, i w następstwie tego automatycznym ich skurczem, bądź skupieniem myśli świadomej na danym przedmiocie. (Cumberlandyzm, mylnie nazwany sztuką odgadywawania myśli), bądź działaniem myśli bezwiednej, (wahadło magiczne starożytnych) bądź wreszcie działaniem wszystkich tych trzech czynników naraz, wytłómaczyć się dadzą. Ostatni paragraf odnosi się do wirowania stołów — które spirytyści uważają za pochodzące od duchów — i do tak zwanego pisma automatycznego, będącego bezwiednym skurczem mięśniowym, wywołanym przez myśl świadomą, lub bezwiedną. Zjawiska te wogóle bardzo pospolite, do wywołania łatwe, nie wymagają obecności i współudziału indywiduów szczególnie usposobionych.

Medyumizm wyższego rzędu przeciwnie odznacza się tem, że objawy jego obserwować można jedynie w obecności istot o szczególnych i niezbadanych dotąd właściwościach fizyologicznych.

Istoty te nazywamy medyami. Nadto zjawiska medyumiczne wyższego rzędu w rzadkich tylko wypadkach występują w obecności samego medyum. Zazwyczaj potrzeba jeszcze współudziału kilku osób trzymających się wzajem za ręce, i tworzących koło.

Zjawiska, które w powyższych warunkach otrzymać można, podzielił prelegent na cztery kategorye: cieplikowych, świetlnych, dźwiękowych i mechanicznych.

Zanim przystąpię do ich opisu, dodać winnam, że doktór Ochorowicz mówił tylko o tych objawach, których był świadkiem, i które osobiście badał.

Co do pierwszej zatem kategoryi: wszystkim biorącym udział w tak zwanych seansach, znanym jest doskonale objaw, występujący zazwyczaj w pierwszych chwilach posiedzenia, a polegający na wrażeniu chłodu, dającem się odczuwać głównie w rękach. Jest to niby zimny powiew muskający połączone ze sobą dłonie zgromadzonych osób. Już ze swoich doświadczeń nad magnetyzmem doktór Ochorowicz wyniósł przekonanie, że takiemu obniżeniu temperatury towarzyszy za-

zwyczaj ubytek siły, która przy magnetyzowaniu przenosi się z organizmu magnetyzera na organizm magnetyzowanego.

(Magnetyzer odczuwa zawsze ów chłodny powiew, a ręce jego po wykonaniu pewnej ilości pociągów zimne są i suche). Mierząc na dynamometrze siłę mięśniową każdego z biorących udział w seansie medyumicznym przed zaczęciem i po ukończeniu posiedzenia, doktór Ochorowicz doszedł do przekonania, że po ukończeuiu u każdego prawie objawia się znaczny jej ubytek. Cóż się stało z daną ilością zaginionych gramów siły mięśniowej? Oto — powiada p. O. — złożyły się one na wytworzenie fikcyjnej istoty dynamicznej, bezpośredniej sprawczyni wszystkich zjawisk obserwowanych w czasie seansu.

Może się to komuś wydać ciemnem i niezrozumiałem. Do tej chwili jednak nauka nie stworzyła hypotezy, która mogłaby w sposób jaśniejszy i dokładniejszy fakta odnośne wytłómaczyć.

Objawy świetlne polegają na ukazywaniu się płomyków, iskier, kul świetlanych i t. p. Czasami zamiast tego występuje jakby mgławica świetlista, która powoli przyjmuje pewne określone kształty. Jest to zapowiedź t. zw. materyalizacyi całkowitej, objawu, który niejednokrotnie obserwował Crookes i inni uczeni, ale którego na posiedzeniach z Eusapią nie udało się ni razu otrzymać.

Zjawiska dźwiękowe występują w rozmaitym stopniu natężenia, od lekkiego pukania i klaskania, aż do silnego uderzenia, niby pięścią w stół. Są to najpospolitsze i najczęściej dające się obserwować objawy.

Przechodzimy do zjawisk mechanicznych, do unoszenia się w górę, bez żadnej widocznej przyczyny przedmiotów ciężkich jak stoły, krzesła i t. p.

Opierając się na własnych i cudzych obserwacyach, dokonanych w warunkach odpowiadających wszelkim wymaganiom ścisłego, naukowego badania, doktór Ochorowicz uważa fakta powyższe za bezwzględnie stwierdzone, pomimo że właśnie przeciw ich rzeczywistości podniosło się w ostatnich czasach najwięcej wyraźnie sformułowanych zarzutów.

Kiedy pr. Crookes przystępował do badań swoich nad medyumizmem, postawił spirytystom następujące żądanie: Niechaj w moim gabinecie, na mojej wadze umieszczonej pod kloszem szklannym, ciężar ciała położonego na szali zmieni się pod wpływem waszych duchów o najdrobniejszą, wyczuwalna część grama, a uznam, że w tem wszystkiem, o czem opowiadacie, tkwi nie szarlatanerya, lecz tajemnica, którą zbadać należy.

Z podobnem żądaniem zwrócił się doktór O. do Eusapii na pierwszem posiedzeniu w Rzymie.

Umieściwszy pod kloszem szklannym bussolę, zaproponował, by igła magnesowa posunęła się w którymkolwiek kierunku. Medyum, któremu po raz pierwszy kazano wykonać coś podobnego, nie rozumiało z początku, o co chodzi, i pierwsza próba nie udała się. Po kilku minutach jednak zbliżyła Eusapia na pewną odległość rękę do klosza, krzyknęła, uskarżając się na nagły ból w dłoni, i w tej chwili igiełka posunęła się o 15°.

Czem wytłómaczyć podobne zjawisko? Byłoby ono bardzo łatwem do zrozumienia, gdyby w ręku Eusapii podczas doświadczenia znajdował się magnes. Ale Eusapia mieć go nie mogła. Pamiętajmy, że propozycya zaskoczyła ją niespodziewanie, a przytem współuczestnicy posiedzenia, których podejrzliwość w tym właśnie kierunku zwróconą była, przedsięwzięli środki uniemożliwiające wprost wykonanie podobnej sztuczki. Zresztą — jak zapewnia p. O. — owo wychylenie się igiełki nie wyglądało na wywołane zbliżeniem magnesu. Miało ono inny zupełnie charakter. Oto patrzący odbierał wrażenie, jakgdyby ręka Eusapii przedłużyła się, przeniknęła szkło, i posunęła wskazówkę bussoli o 15°.

To pierwsze doświadczenie zatem nasunęło już dr. O. hypotezę, którą dalsze obserwacye do pewnego stopnia stwierdziły. Powiedzmy od razu, jaką jest ta hypoteza:

Oprócz ciała materyalnego widzialnego i wyczuwalnego innemi zmysłami, jest w nas drugie ciało, które prelegent nazwał „dynamicznem." Ono jest jakby kanwą, około której skupiają się cząstki materyi, ono jest tem czemś tajemniczem i niezbadanem, co materyę martwą ożywia. W pewnych warunkach szczególnych ciało dynamiczne może oddzielić się od materyalnego, może niejako rozszczepić się z niem.

Ciało materyalne znajduje się wtedy w stanie bezwładu i nieczułości, w stanie chwilowej martwoty. Tak zwany w medyumizmie „trans" jest właśnie stanem chwilowego rozszczepienia się ciała dynamicznego z materyalnem.

Hypotezą tą objaśnia doktór Ochorowicz podnoszenie się na kilka cali po nad ziemię ciężkiego stołu, nad którym Eusapia w odległości kilku lub kilkunastu cali trzyma ręce i t. p., i t. p.

W ciągu swoich badań prowadzonych w Rzymie, Warszawie i na małej wysepce morza Śródziemnego, gdzie wraz z prof. Richet'em odbył 40 posiedzeń, miał prelegent sposobność obserwowania po wiele razy jednego i tego samego zjawiska, sprawdzania i kontrolowania go wszelkimi sposobami, jakich nauka dostarcza. Ze wszystkich tych doświadczeń wyniósł przekonanie, że nie duchy — jak twierdzą spirytyści — są sprawcami zjawisk medyumicznych, nie duchy podnoszą stoły, krzesła i t. p., nie duchy grają na instrumentach ustawionych w blizkości medyum, stukają, klaszczą i t. d., lecz że wszystkiego tego dokonywa samo medyum, a raczej dynamiczna jego połowa

Na posiedzeniach, które odbywały się w pół świetle, można było widzieć wyraźnie jakby cień wyłaniający się z ramienia Eusapii, i zwracający się w stronę przedmiotu, który miał być poruszonym czy dotkniętym. Była to owa ręka dynamiczna. Końce palców a czasami i dłoń były zmateryalizowane, wyczuwano bowiem ich dotknięcie, a nawet niejednokrotnie otrzymywano odcisk owej ręki na glinie. Zdaje się więc, że i atomy materyi mogą oddzielić się od ciała medyum, i skupić dokoła swojej dynamicznej kanwy. Ten ostatni objaw w języku medyumistów zowie się „materyalizacyą."

Po za tem, co powiedzieliśmy dotąd, a co w skróceniu, i z pominięciem wielu ciekawych, i dających do myślenia szczegółów, stanowi prawie całą treść odczytu doktora Ochorowicza, pozostaje nam jeszcze powtórzyć słowa prelegenta, zwrócone do „niewygasłej dotąd rasy" wrogów wszelakiej nowej prawdy.

Dzisiejsi przeciwnicy medyumizmu — mówił doktór O. — to w prostej linii następcy tych, którzy prześladowali Galileusza, palili na stosach czarowników, zniszczyli pierwszą maszynę parową i t. d., i t. d. Oni to wszędzie i zawsze kładąc tamy myśli ludzkiej, nie zdołali jednak ani na chwilę wstrzymać jej pochodu. Istnieje mnóstwo zagadnień, na które fizyologia nie daje żadnej odpowiedzi. Co to jest życie i śmierć? Co to jest dziedziczność? Co to jest t. zw. siła żywotna? siła odradzająca zniszczoną tkankę? siła ograniczająca kształt? i t. d., i t. d.

Przez zbadanie materyi dynamicznej wszystkie te pytania zyskałyby niewątpliwie poważną podstawę do wyjaśnień. Dziecinnemi wydają się nasze doświadczenia medyumiczne — ciągnął dalej prelegent — a czy poważniejszym był kociołek Watt'a, który stał się zaczątkiem maszyny parowej?

Gdy medyumizm rozwinąwszy się, dokona zupełnego przewrotu w naszych poglądach na świat, na materyę, siłę, gdy widnokręgi myśli naszej rozszerzy do granic, których dzisiaj przewidzieć nawet nie jesteśmy w stanie, jak wtedy wyglądać będą ci, którzy w pierwszych doświadczeniach medyumicznych umieli dopatrzeć się jedynie kuglarstwa? Tym, którym sąd potomności nie jest obojętnym, pozostaje na dzisiaj tylko jedno: *wstrzymać się z sądem i czekać.*

Z naszej strony tą samą radą służymy wam czytelnicy. Nie dajcie uwieść się pełnym pewności siebie minom niektórych reporterów naszych, sądzących w błogiej zarozumiałości, że mają prawo z politowaniem ruszać ramionami nad naiwnością Crookes'ów, Zöllnerów, Richetów, Schiaparellich, Lombros'ów i Ochorowiczów. *Wstrzymać się z sądem i czekać.*

Publiczność zebrana w sali Muzeum tak tłumnie, jak na żadnym z poprzednich odczytów grzmotem oklasków i entuzyastycznymi okrzykami dziękowała prelegentowi nietyle może za zajmujące i pełne werwy opowiadanie, ile za niezwykłą u nas śmiałość wystąpienia otwarcie w obronie tego, co się za prawdę uznaje.

H. C.

Klemens Junosza.

PRZYSIĘGA PANA SYLWESTRA.

OBRAZEK.

(Dokończenie.)

— Pragnąc uplastycznić niezaradność ludności, wobec ewentualnego wroga, przedstawiłem w dość wymowny sposób obraz naszego sąsiedniego miasteczka, jego brud, niechlujstwo, ciemnotę mieszkańców, niechęć wypełniania poleceń sanitarnych, mających ich dobro na celu — i opierając się na tem wszystkiem, przyszedłem do wniosku, że gdyby ta epidemia zawitała do nas podczas upałów, to żniwo jej byłoby rzeczywiście straszne. Dodałem, że ewentualność pojawienia się cholery nie jest bynajmniej wykluczona, że w Mekce, oraz nad Gangesem istnieją stałe jej źródła, z których, przy łatwości komunikacyi, przy ciągłych stosunkach międzynarodowych, zaraza, pomimo kwarantann i wszelkich środków ostrożności, może się bardzo łatwo dostać do Europy, i do nas, a skoro tu przyjdzie, to wypędzić się nie da tak prędko.

— I ten dyskurs podobał się pani?

— Na razie zdawało mi się, że bardzo, ale panie dobrodzieju, kobieta co innego myśli, co

innego mówi, a co innego robi. Jest to, jak ktoś słusznie powiedział: sfinks, zagadka. Zaprosiła mnie na obiad, ale sama prawie nic nie jadła, uskarżała się na nudności, i zdawało jej się, że czuje dokoła siebie woń karbolu. Było to złudzenie, albowiem w całej willi i we wszystkich naszych willach karbolu nie mamy. Czuć tylko trochę świeże malowanie, ale to przecież nie karbol, tylko pokost. Zresztą tyle kwiatów dokoła. Zapachy dostarczyły nam nowego tematu do rozmowy, zacząłem o fabrykacyi perfum, i opowiedziałem, z jakich szkaradnych odpadków robią się przedziwne essencye i ess-bouquety, i jakie szczególne metamorfozy sprawia chemia. Piękna pani zaczęła się uskarżać na ból głowy — opuściłem ją więc. Wieczorem dopiero wyszła do ogrodu, czas był piękny, również jak poprzedniego dnia, słońce schowało się za las, księżyc nie wszedł jeszcze na horyzont. Ziemię obejmował zmrok, w górze błyszczały gwiazdki. Zdawało mi się, że taki czas, taka nawpół uśpiona natura, usposabia do marzeń, do myślenia o wielkiej zagadce życia, o światach pozagrobowych, nieznanych, a przez to dla każdej myślącej jednostki tak ciekawych. Co tam wysoko, na Marsie, na Jowiszu, na Saturnie? czy mieszkają tam ludzie? czy duchy naszych poprzedników wyzwolone z ciała, swobodne, lekkie jak eter, uciekają z ziemi w te nietylko okiem, ale nawet myślą niezmierzone przestrzenie, czy zaczynają tam nowe życie? No, chyba tego przedmiotu do rozmowy pan nie zgani?

— Owszem, przyznaję, że jest bardzo zajmujący.

— I właściwy dla młodej, myślącej kobiety?

— Najwłaściwszy.

— A jednak panie, to była kropla, która przepełniła miarę mego nieszczęścia.

— Co pan mówisz?

— Tak, tak. Chodziliśmy długo po ogrodzie, rozmawiając o gwiazdach i o duchach. Wysypywałem przed nią niby z worka wszystkie nagromadzone bezładnie w mojej głowie wiadomości dotyczące tego przedmiotu, dotknąłem zlekka różnych religii i wierzeń, wspomniałem o metampsychozie indyjskiej, dodając, że i nasi zacofani żydzi wierzą w przechodzenie dusz ludzkich w zwierzęta, a nawet w przedmioty martwe i że taka wędrówka pośmiertna nazywa się „giłguł." Gdy wymówiłem ten wyraz, w moją pannę jakby piorun strzelił. Rzekła wyniośle, że obejdzie się bez mego towarzystwa, że nie może znosić antysemitów, ponieważ są to ludzie bez czci i wiary, i że wyprowadzi się natychmiast z willi, w której zamiast przyjemności i wypoczynku znajduje złe wychowanie, niegrzeczność i przewrotne zasady. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, dopiero po chwili namysłu, zapytałem w czem dostrzegła antysemityzm, kiedy nie mówiliśmy wcale o tym przedmiocie. Odrzekła, że wogóle zna się na aluzyach, zwłaszcza tak przezroczystych jak moje.

— Więc ta pani jest filosemitka?

— Pokazuje się, że semitka, ale daję panu dobrodziejowi uczciwe słowo, że ja o tem nic nie wiedziałem. Piękna pani, to piękna pani; cóż mi do tego, w co wierzy, i zkąd pochodzi.

— Zapewne.

— Zaczęło się piekło.

— Pod jakim względem?

— Piękność wpadła do willi jak uragan, napisała list, pokojówka z tym listem nocnym pociągiem pojechała do Warszawy.

— Do kogo?

— Do mego kuzyna, właściciela willi.

— Nie rozumiem.

— Zaraz się pan dowie. Dziś o godzinie dziesiątej zrana przyjechał mój kuzyn. Wpadł tu, do mnie, zły i rozgoryczony. „Żeś włóczył moje nazwisko po knajpach, zawołał, to znosiłem, choć mi było ciężko i boleśnie, ale gdy roznosisz moje dochody, tak jak wiatr roznosi piasek po polu, tego nie wytrzymam, to już nad moje siły. Masz! czytaj..." to rzekłszy rzucił na stół list.

— Od pani Berty?!

— Tak.

— Cóż w nim było?

— Najgorsze zarzuty: że straszyłem ją śmiercią i opowiadaniem o grzebaniu i paleniu zwłok, że przez całą noc śpiewałem jakieś przerażające, pogrzebowe melodye, że uprzedziłem ją, iż w tym roku będzie w najbliższem miasteczku i okolicy straszliwa cholera, co ją naraziło na nudności i boleści, że opowiadałem jej o fabrykacyi perfum niedorzeczności wywołujące ból głowy, że nareszcie szydziłem z jej pochodzenia, mówiąc o duszach przechodzących w konia, kozę lub kurę. Że na skutek tego willa jej obrzydła, że wyprowadza się natychmiast, nie czekając powrotu męża z Berlina.

— Ależ czy to są powody do opuszczenia mieszkania.

— Według tej pani, są.

— Kuzyn pański mógł im wytoczyć proces, i drogą prawną zmusić do zapłaty komornego.

— Nie mógł.

— Dlaczego?... przepraszam.

— Dlatego, że z mężem pani Berty łączą go jakieś stosunki, których zrywać nie chce i nie może. Pieniężnicy mają różne między sobą relacye.

— I na czem się skończyło?

— Jak najfatalniej dla mnie. Piękna pani spakowała swoje walizy, z których ośmnaście już odesłano na stacyę, a siedm czeka swojej kolei, mieszkanie nie wynajęte, a kuzyn zapowiedział mi, że jeżeli w przeciągu trzech dni nie znajdę lokatora, to żebym się wynosił ztąd, i szedł w świat, gdzie mi się podoba. Takie to są opłakane skutki bawienia dam. Nie taję, że jedyna moja nadzieja w panu. Zamiast brać lokal w tamtej willi, o którym ogłaszaliśmy, niech pan weźmie ten... po dumnej piękności, a ocali pan tym sposobem człowieka, nie tyle winnego, ile nieszczęśliwego.

— A no, zobaczymy... chodźmy obejrzeć willę.

— Chodźmy — rzekł suchy człowieczek, któremu błysnął różowy promyk nadziei.

Pani Berta, wybrana już do drogi, pozwoliła obejrzeć lokal, tranzakcya przyszła do skutku... rządca był uszczęśliwiony.

— Dziękuję panu — mówił, — serdecznie dziękuję... już nie jestem młody, nie chciałoby mi się włóczyć po świecie, szukać kawałka chleba i dachu nad głową, a tu mi dobrze i spokojnie. Wdzięczność moja dla pana nie ma granic; będę w dalszym ciągu pilnował tych domków, reformował niekiedy świat z aptekarzem, filozofował trochę, i grywał w szachy z Kielmanem, będę słuchał szerokich projektów byłego nauczyciela elementarnego, i tak dowegetuję do końca.

Rządca odprowadził nowego lokatora do stacyi kolejowej, gdy byli już blizko niej, zatrzymał się na chwilę i rzekł:

— Jeszcze słówko.

— Co pan każe?

— Zrobiłem w tej chwili ważne postanowienie, zobowiązanie, ślub, i chciałbym mu nadać dla większej mocy, formę jaknajbardziej uroczystą.

— Jakto?

— Chcę wobec pana wykonać przysięgę, chcę żebyś pan był świadkiem mego zaklęcia, żebym, jeżeliby kiedy przyszła myśl złamania tego słowa, przypomniał sobie pana, zawstydził się sam przed sobą, i cofnął w porę.

— O cóż idzie?

Mały człowieczek podniósł rękę i rzekł uroczystym głosem:

— Ja Sylwester X. przysięgam uroczyście, że nigdy w życiu, ani z własnej woli, ani na czyjekolwiek prośby lub żądanie, ani z konieczności, ani nawet pod grozą przymusu, dam bawić nie będę.

Z moralistów naszej epoki.

Solidarność społeczna.

Nauczyła ludzi praktyka życia, iż nietylko że, samym chlebem żyć nie może człowiek, ale nadto, że i nauka nie jest dla zrównoważenia tamtych potrzeb materyalnych przeciwwagą dostateczną.

Zaspokojenie warunków bytu zwierzęcego i zdobycie ich dla siebie nie uszczęśliwia istoty ludzkiej myślącej; nauka nie daje wszystkich zadowoleń, bo nie chce powiedzieć często ostatniego swojego słowa. Okazuje się tedy, że chleba i światła nauki mało jest dla szczęścia nawet najsamolubniej pojętego, choćby człowiek brał siebie pojedyńczo — choćby się nie czuł członkiem wielkiej rodziny ludzkiej.

Tego naucza życie. A więc musi być w głębi duszy ludzkiej inny jeszcze jakiś pierwiastek — inna potrzeba, czy inne pragnienie, którego bez zaspokojenia pozostawiać nam nie wolno.

Tem pragnieniem jest potrzeba należenia do zbiorowości czy rodziny ludzkiej, a zaspokojenie jej daje człowiekowi nietylko udoskonalenie względne, ale nadto w zamian za nieodzowne pozbycie się części przywilejów swoich na rzecz innych, zdobywa sobie człowiek to, czego mu nic innego dać nie może — zdobywa szczęście.

Bez instynktu zaspakajania takiej potrzeby człowiek nie jest zupełnym, a samo przytłumienie w sobie tego uszlachetniającego pierwiastku, mści się na jednostce zarówno jak na społecznościach całych.

Z tych pojęć wypływa cały szereg obowiązków, które moraliści dzisiejsi ochrzcili mianem: obowiązku solidarności społecznej.

Ponieważ zdaniem tych moralistów epoka nasza daje przykład krzyczącego zaniedbania tych obowiązków, widzimy więc domierzającą się na niej, w zamian za to uchybienie, sprawiedliwość, która zesłała nam plagę tak zwanego: Bankructwa życiowego.

O tem bankructwie mówi między innymi dosyć obszernie znany publicysta francuzki pan Juliusz Hoche.

Dajemy poniżej ekstrakt jego zapatrywań, które polecamy czytelniczkom do uważnego odczytania, choćby ich w toku ekspozycyi niejedno uderzyć, a nawet zrazić miało.

Tym tylko sposobem będziemy mogli ocenić całej doktryny ważność, wartość, a nadewszystko jej oryginalność, o którą nam tutaj chodzi przedewszystkiem.

* * *

Trzeba przyznać, że bankructwo zajęło miejsce naczelne w obyczajach kończącego się stulecia naszego.

Ze sfery przemysłowej przeszło bankructwo w dziedzinę objawów psychologicznych, i rozpostarło się tutaj, i zagraża światu niepodzielną wszechwładzą swoją. To jego rozwielmożnienie się zawdzięczamy kierunkom epoki, która z uszczerbkiem wszystkich nauk uprzywilejowała wiedzę przyrodniczą i nauki ścisłe.

Odnośnie do znaczenia, które nadajemy temu wyrazowi: bankructwo, rozumieć przez nie należy pewien właściwy stan ducha ludzkiego, a jak w tym wypadku pewne dominujące niedomaganie zbiorowe.

A więc kiedy się mówi *bankructwo nauki*, znaczy to, że nie wierzymy już w naukę. Kiedy mówimy *bankructwo w rzeczach wiary*, rozumieć należy, że jednostka czy zbiorowość ludzka nie ogrzewa się już u tego ogniska — że przestała być dla człowieka, czy dla ludzi, na jakąś daną chwilę wiara pociechą — umocnieniem i ucieczką.

Tak samo tłómaczyć sobie wypada objaw, który zowiemy *bankructwem życiowem*, a który reasumując w sobie i stany poprzednie i inne im pokrewne, wyraża się przez jakieś całkowito-ogólne zniechęcenie, a w praktyce życiowej przez właściwą naszej epoce manię samobójczą.

Tymczasem życie nie zmieniło się samo w sobie, a tylko nasze o niem pojęcia uległy przeobrażeniu doszczętnemu.

Ilekroć razy liczba samobójstw wzrasta, występują ludzie z oskarżeniami przeciwko temu życiu, obwiniając je, że nie dotrzymuje obietnic swoich.

To nie życie — to my jesteśmy winowajcami.

Czemże w gruncie rzeczy jest akt śmierci dobrowolnej człowieka, jeżeli nie świadectwem jego niemocy podwójnej — fizycznej i moralnej? Tej niemocy, która nie pozwala człowiekowi na cierpliwe znoszenie ciężarów—na wypłacenie się z obowiązku względem innych — jednem słowem na spełnienie wszystkich artykułów umowy społecznej.

Są tacy, którzy twierdzą, że takie wyłamanie się od obowiązku przez samobójstwo ma swoje źródło we wspomnianem przez nas bankructwie w rzeczach wiary. *Tymczasem ta wiara ustępuje w naszych czasach z konieczności przed uczuciami o wiele płodniejszemi i szlachetniejszemi — godniejszemi ludzi żyjących wśród społeczności* — jednem słowem przed *poczuciem solidarności społecznej*.

Solidarność ta, to najwyższy wyraz miłości — to prawo nakazujące nieustanną z naszej strony ofiarność, przed którą ustąpić winny wszelkie żądze mniej lub więcej egoistycznej natury.

Ta solidarność, to religia przyszłości.

Ona naucza nas, żeśmy nie przyszli na świat dla użycia i szczęścia, ale dla znoszenia cierpień. Ona nakazuje nam miłować człowieka i pełnić względem niego to wszystko, czego od ludzi żądamy dla siebie.

Biada samemu! Powiedział najmędrszy z ludzi. I to jest wyrok na wszystkich, którzy samowolnie depcą umowę społeczną. Samobójstwo jest jednym z aktów naruszających tę umowę, tem bardziej, że ci wszyscy, którzy w niem szukają ucieczki, już poprzednio porwali większą część węzłów, łączących ich ze społecznością.

Istnieje niewątpliwie to, co nazywamy brzemieniem życia, są boleści druzgoczące istotę ludzką — nie przeczymy nawet, i usprawiedliwiamy rozpacz wynikającą z wielkich niedoli moralnych lub fizycznych, ale przekonani jesteśmy, że wielkie poczucie solidarności, skoro ono raz zajmie miejsce dawnej wiary w sercu człowieka — że poczucie to zaradzi wszystkiemu.

Ci, którzy na społeczność ludzką składają odpowiedzialność za wszystkie niedole indywidualne, nie mają słuszności. Ze społecznością tak się mają rzeczy jak z przyrodą. Jedna i druga zna tylko gatunek i rasę — obowiązku natomiast zaprzątania się jednostką nie ma z nich żadna.

Społeczność nie może być tą matką żywicielką wyciągającą pierś pełną pokarmu ku wszystkim słabym i wydziedziczonym. Porządek w jakim się jej działalność przejawia, jest wyższy, a zadania podnioślejsze.

Wspierać jednostkę, dopomagać jej, to obowiązek człowieka, i temu to właśnie obowiązkowi sprzeniewierzamy się siłą wszystkich sofizmatów, które nam podszeptuje egoizm nasz — nasza nikczemność, a choćby tylko obojętność i chłód serc naszych.

Niechętnie solidaryzujemy się z nieszczęściem, nie radzi jesteśmy brać udziału w troskach cudzych, a najczęściej własne nasze cierpienia robią nas niesprawiedliwymi względem innych.

Kto z pomiędzy nas nie hołduje zasadzie sobkostwa, ten przez ogół dzisiejszy uważanym bywa za człowieka uszczuplającego dobrowolnie stopień własnej odporności w walce o byt. Taki człowiek nie jest w ścisłem znaczeniu dzieckiem swojej epoki, i o takim mówi się: że popadł w uczuciowość.

A tymczasem my wszyscy, którzy nie odczuwamy niedoli drugich, jesteśmy dlatego takimi, że nie chcemy pojąć, wiele to jest siły ożywczej i uszlachetniającej w wykonaniu obowiązków solidarności społecznej. Gdybyśmy się należycie przejęli tą wielką prawdą, nie odpychalibyśmy z pewnością wszelkiego cierpienia, które nie jest naszem cierpieniem — wszelkiego smutku, który nie jest bezpośrednio lub pośrednio naszym smutkiem.

Nawet najlepsi z pomiędzy nas podlegają tej zarazie, której nie pomieszczono dotąd w rzędzie wszystkich znanych... phobij, a którą my nazwiemy w tem miejscu: wstrętem ku wszystkiemu, co smutne.

I dlatego tyle dokoła nas śmierci tragicznych, że nie pomyślimy, iż ci co nas otaczają, to wszystko ludzie nam podobni, że są tam matki równie czułe i kochające jak nasze matki, młode dziewczęta przeznaczone na to, aby dały takie samo szczęście innym, jakiego my kosztujemy, że ci opuszczeni i ginący byli niegdyś dziećmi tak kochanemi jak my i że tylko wyciągnięcia naszej ręki potrzeba nieraz było, aby ich wyrwać rozpaczy i śmierci.

I dlatego twierdzić można, że po za ścisłem wykonaniem obowiązków wskazanych przez prawo solidarności społecznej nie ma lekarstwa na to złe, które nazwaliśmy bankructwem życia. W tem leży cała moralność społeczna, od której nikt nie ma prawa się uchylać — od której nie rozgrzeszają nawet własne troski i cierpienia własne.

Ten wyraz cierpienie nasuwa cały szereg uwag i myśli.

Cierpienie to takie złe, któremu się obronić nie możemy, o którem nie wiemy zkąd przychodzi, dlaczego jest, i nadto nie przypuszczamy, aby to co dla nas jest bólem, czy cierpieniem, komukolwiek na pożytek pójść mogło.

A tymczasem dusza nasza podobną jest do tego nieba, które widzimy nad głowami naszemi, a o którem nie wiemy na pewno czy jest istotnie; niebem, czy bezmiarem przestrzeni, czy złudzeniem zmysłów tylko.

Na tych przestworzach widzą oczy nasze dzień i noc, światło słoneczne i czarne mroki, pogody i nawałnice, ale my w gruncie rzeczy mało wiemy z tej kosmografii całej, a co się tyczy przyczyny tych zmian i celów ich, wolno nam powiedzieć, że nie wiemy nic zgoła.

I tak jak umysł człowieka nieoświeconego nie wie o tem, że zapadająca dla nas noc daje światło dzienne mieszkańcowi półkuli przeciwległej, tak samo nieświadomość nasza nie dopuszcza nam zrozumienia dla kogo cierpienia i boleści nasze mogą być ulgą i pociechą.

Pewnem zdaje się być jedno tylko, to jest, że tak jak i dla porządku w świecie materyalnym potrzebne są pogodne i słotne dni i tygodnie, tak samo dla harmonii w życiu duchowem zbiorowości, niezbędną jest radość i smutek — uciecha i troska — szczęście i cierpienie ludzkie.

Ztąd potrzeba godzenia się z koniecznością i wytrwałego znoszenia cierpień i trudów życiowych.

* * *

Bardzo jest dobre to wszystko, ale zkąd wziął pan Hoche tę swoją doktrynę moralności niezależnej—dlaczego chce z niej zrobić tak nazwaną przez siebie religią przyszłości—a nadewszystko dlaczego mu się wydaje cały ten kodeks solidarności społecznej jakiemś nowem objawieniem prawd, nigdzie przedtem niewypowiedzianych?

Wszakci to od kilkunastu stuleci doskonali się ludzkość na tej wielkiej spuściźnie pozostawionej przez naukę Chrystusową, i nic ma ani jednej myśli wypowiedzianej przez pana Hoche'a i jemu podobnych, któraby nie była żywcem wziętą ztamtąd, chyba że zechcemy po dziecinnemu spierać się o wyrazy, i radować tem, żeśmy naszą gotowość ulżenia niedoli drugich ochrzcili terminem: altruizm, a prastary fundament nowego zakonu—chrześciańską miłość bliźniego, przezwali solidarnością społeczną.

Psoty takiej mogą się dopuszczać dzieci tylko, albo niedołęgi. Dla każdego krytyczniejszego umysłu plagjaty tego rodzaju wychodzą zawsze podobnie jak kramarskie zabiegi jakiegoś drogisty, który do środka zalecanego przez znakomitego lekarza przylepia swoją aptekarską firmę.

A. S.

Kolonizacye niemieckie

w Afryce.

Nie ma zapewne między czytelniczkami naszemi takich, którymby obcemi były przygody i niedole naszej emigracyi do Brazylii i Argentyny w latach ostatnich. Ubolewał nasz ogół nad temi nieszczęściami zapędzonych nie wiedzieć po co mass ciemnych, ubogich i niezaradnych w klimat nieprzyjazny, warunki nieznane i odrazu jawnem było, że tylko mała liczba tych nieopatrznych, zdoła, przystosowawszy się do stosunków miejscowych, przeżyć nędzę lat pierwszych, zadomowić się i rozpocząć nową egzystencyę.

Sporo też było wypowiedzianych słów oburzenia sprawiedliwego pod adresem werbowników i wyzyskiwaczy ludu ciemnego, i drugie tyle przynajmniej gorzkich uwag, dotyczących naszej narodowej lekkomyślności, łatwowierności, niezaradności i próżniactwa.

Może z tych surowych sędziów zmodyfikuje niejeden swoje opinje w tem co dotyczy tych obwinień ostatnich, jeśli rozczytać się zechce w sprawozdaniach, a raczej w tej potężnej wrzawie, jaką podnosi prasa niemiecka z okazyi oszustw i grabieży, jakich się dopuszczono w Niemczech na tych wszystkich, którym kolonizacya w południowo-wschodniej Afryce na tyle do smaku przypadła, że nie wahali się porzucić kraju i poszukać szczęścia w tych stronach odległych. Dodajmy do tego, że u nas werbowali do emigracyi żydzi, że tumanili oni głowy najciemniejszym i najuboższym. W Niemczech przeciwnie, zachęcał rząd, potworzyły się za wiedzą tego rządu syndykaty i agencye, a nadto do emigracyi afrykańskiej rzuciły się i warstwy oświecone i posiadające majątki—takie, które wyprzedawszy mienie z gotowym i niebyle jakim zasobem szły na tę wyprawę, zbrojne poparciem i programem rządowym, a przedewszystkiem zbrojne swoim, całemu światu cywilizowanemu znanym, zmysłem kolonizatorskim.

Posłuchajmy co nam o tem wszystkiem opowiada Franciszek von Giesebrecht w czasopiśmie „Neue Deutsche Rundschau" zastrzegając z góry, że nie dla wywołania skandalu bierze pióro do ręki że owszem każdy przytoczony fakt gotów jest poprzeć dokumentami i dowodami, a nadto zapowiada, że najlepsze potwierdzenie tego co on mówi znajdą Niemcy w toku pokaźnej liczby procesów, wytoczonych przeciwko syndykatowi Południowo-Wschodniej kolonizacyi Afrykańskiej.

Ruch emigracyjny według pana G. składał się właściwie z dwóch części. Z jednej strony oczewiście tłumy ludności czujące, że ciasno dokoła nich w domu, a przeto nasłuchujące ciągle co tam za oceanem otwiera się nowych dróg i sposobności do uchwycenia się koła fortuny.

Z drugiej, znajdujemy ludzi stanowisk związujących się w celu wyzyskania takiej kopalni złota, jaką od wieków była i przez wieki jeszcze będzie łatwowierność człowieka.

Zawiązany syndykat kolonizacyi zaczął operować przedwcześnie i byłby się niewątpliwie rozpadł, gdyby mu rząd niemiecki nie był przyszedł z pomocą i właśnie po tem dopiero poparciu nabyło stowarzyszenie w celach kolonizacyi 300 tysięcy hektarów w Afryce południowo-wschodniej, które miały stanowić centrum dla przyszłego napływu emigracyi niemieckiej.

Operacye rozpoczęły się od zawarcia wielce korzystnego układu z kompaniami przewozowemi, dzięki któremu zyski na biednych wychodźcach za podróż samą wynosiły od 50 do 100 procentów. Pan G. udowadnia, że rząd niemiecki wiedział o tym rozboju, ale że na to zamykano oczy w Berlinie.

Drugiem nader ważnem oskarżeniem przeciw syndykatowi jest, że werbując ludność rolną osiedlać ją zamierzył na obszarach, które się do wielkiej kultury i chowu bydła w żadnym razie nie nadawały. O tem zawiadamiał władzę delegowany major François, a nadto agronom Hermann w raporcie swoim powiada, że przestrzeń zakupiona, pozbawiona jest zupełnie wody i że tylko po nawodnieniu sztucznem nadawałaby się do uprawy, że sprowadzenie tutaj niezbędnego tysiąca przynajmniej krów dla kolonistów uważa on za zbyteczne, ponieważ nie ma tu warunków do przeżywienia takiej ilości.

Wysłani przez syndykat panowie: hr. Pfeil, Uchtritz, doktór Hendorf i Dove opublikowali w imieniu stowarzyszenia broszurę zatytułowaną: Do wychodźców południowo-wschodniej Afryki, która rozchwytaną została nader szybko tak, że jeden tylko jej egzemplarz dostał się p. Giesebrecht. Ten jeden też służyć będzie jako dowód bezwzględnie potępiający syndykat w sprawie świeżo wytoczonej. Ta broszura zdradziecka obiecywała cuda i bogactwa nieszczęśliwym, którzy niebawem mieli znaleźć w tym kraju nędzę i śmierć.

Nie mówi się już o takich łupieztwach jak sprzedaż sprzętów i narzędzi zdefektowanych po cenach niesłychanie wysokich, notabene narzędzi, które w tamtych warunkach do niczego przydatnemi być nie mogły. Całe stosy są dokumentów wyliczających podobne przykłady nadużycia dobrej wiary nieświadomych.

Po wylądowaniu w Swakopmund nie znaleźli oni nietylko opisywanych hoteli, ale nawet jednej nędznej szopy i wszyscy musieli obozować pod gołem niebem. Teraz rozpoczynały się wszystkie niedole oszukanych i zacytujemy z nich kilka pierwszych lepszych na dowód, że moralność członków syndykatu, sypiących hojnie obietnicami a kłamiących z całą świadomością, nie była wcale wyższą od moralności piratów malajskich. Oto pierwsze lepsze wzięte z porządku nazwiska:

Dymisyonowany porucznik Stoss przybyły w roku 1892 z żoną. Mając całe swoje mienie wyłudzone przez organa syndykatu, popadł w zupełną nędzę. Zastano ich tam wraz z żoną odzianych łachmanami, zupełnie podupadłych na duchu, tak że nawet odmówili pomocy pieniężnej mogącej im ułatwić powrót do kraju. Byli w tym stanie, w którym oczekuje się ocalenia tylko od śmierci.

Gottfried Schurz wylądował w r. 1893 z żoną i pięciorgiem dzieci także w Swakopmund. Pieniędzy na dalszą podróż mu zabrakło, bo wszystko trzeba było płacić podwójnie w stosunku do cen zapowiadanych. Pozostała ta rodzina na miejscu i żyje z resztek oddawanych przez miłosierdzie żołnierzy garnizonu. Nie mogło być inaczej, bo za wózek jakiś naprzykład zużyty zupełnie zapłacił S. swoim wydziercom 300 marek. To może służyć jako wymowna miara wyzysku. Żona pierze teraz bieliznę żołnierską, a dzieci rozsypały się na wszystkie strony przygarnięte przez ludzi litościwych.

Dymisyonowany porucznik von Carnop osiedlił się tam z siostrą w r. 1893. Zakupił tutaj jakąś niby fermę i dwa lata strawił na bezowocnem usiłowaniu, aby ją przyprowadzić do jakiegokolwiek stanu produkcyi. Zostawił sobie tyle przynajmniej środków, że mógł powrócić do Niemiec i wytoczyć proces syndykatowi. W I-ej instancyi przegrał dla braku dowodów oskarżających. W apelacyi spodziewają się wszyscy innego wyroku, bo dowodów przez ten czas napłynęło są dowi bardzo wiele, i nowych spraw również.

Th. Heyn niegdyś zarządzający majątkiem nabytym przez komissyą kolonizacyjną w ks. Poznańskiem, przywiózł ze sobą żonę i pięcioro dzieci. Wszystkie jego wysiłki uprawienia tej ziemi niewdzięcznej okazały się bezowocne. Musiał dać za wygranę rolnictwu i założył coś w rodzaju oberży. Jego żona, córka jenerała von Bogen, jest kantynierką wojskową.

Jeden z emigrantów zawiedziony, nie chcąc dzielić losu tych, których tutaj zastał, odebrał sobie życie w r. 1895, zaraz po przybyciu.

W Lutym roku 1895 wylądował w Swakopmund niegdyś właściciel ziemski z okolic Hamburga z żoną i dwojgiem dzieci. Pociągnięty kłamliwemi ogłoszeniami zawarł w Dreznie układ z filią syndykatu o zakup znaczniejszej przestrzeni ziemi dla założenia tam fermy. Po wylądowaniu spostrzegłszy na co się zanosi, nie zabrał ze sobą rodziny w głąb' kraju, i sam puścił się dla sprawdzenia stanu rzeczy. Ani nawet zbliżenia, ani podobieństwa do tego czem go łudzono w Dreznie. Oczywiście bez zasobów taki człowiek nie był, jak tylko więc przekonał się, że nie ma tu co robić, zabrał się z powrotem do kraju a po przybyciu do Berlina wytoczył sprawę o zawód i odszkodowanie, obliczając same tylko wyłudzone od siebie pieniądze na 25 tysięcy marek.

Więcej przykładów stawiać nie będziemy, bo wreszcie tego jako próbki wystarczyć powinno czytelnikowi. Smutne są wszystkie emigracye, a najsmutniejszej pamięci będą z czasem wszelkie syndykaty, bez względu na sfery interesów, które reprezentują. Najdziwniejszem wydaje się to, że rząd niemiecki dla wyjścia z pewnych powikłań wewnętrznych, otwiera sobie tego rodzaju klapę bezpieczeństwa, a jednocześnie zamyka oczy na to co się stanie z dziesiątkami tysięcy, których się pozbył z kraju dla zapewnienia sobie spokojności.

S.

Kilka wiadomości o złocie.

Pomimo wzrastającej ciągle eksploatacyi tego metalu, nie obniża się jego wartość, a pomimo tylu obelg rzuconych na złoto przez filozofów i moralistów, jest ono ciągle tym samym przedmiotem pożądliwości ludzkiej co było dawniej.

Dlaczego pragnie złota świat cały, nie będziemy się tutaj zastanawiać, wreszcie na pytanie takie każdy dostarczyć może sobie sam odpowiedzi, a im prościejszą ona będzie, tem bliższą prawdy z pewnością. W tej krótkiej wzmiance, do której dostarcza nam nieco cyfr i szczegółów

streszczenie najnowszej pracy Leopolda Weill'a, zatytułowanej „Złoto," ograniczymy się do kilku szczegółów produkcyi i kilku porównań, do jakich przyjść można dzisiaj dzięki bogatemu materyałowi nagromadzonemu w pracy Weill'a.

Chcąc porównywać między sobą rozmaite wartości, potrzebujemy podstawy, do której przystosowywaćby można te walory różne. Za taką ilość bezwzględną uznane zostało złoto i w definicyi wartość złota jest niezmienną. Jest to w każdym razie wartość umówiona, konwencyjna i wyrazy takie jak zniżka i zwyżka złota, istotnego wewnętrznego znaczenia nie mają. Kazano złotu być królem metali, wartością bezwzględną — jest tem wszystkiem dzisiaj tak jak było dotąd, i nie zanosi się wcale na to, aby z wysokości swojej detronizowanem być miało w dającej się przewidzieć przyszłości.

Co innego zupełnie jest przypuszczalne, wyczerpanie złota. O tem mówi się dużo—o tem wspomina i Weill w pracy swojej i my też w sprawozdawczej naszej wzmiance powtórzymy to co utrzymuje w tej kwestyi autor z którego czerpiemy informacye.

Sądząc po wielkiej pożądliwości, jakiej za naszych czasów stała się Afryka, możnaby mniemać, że tej trzeciej z rzędu części świata zawdzięczamy przedewszystkiem większość wydobywanego w naszem stuleciu złota. Tak nie jest, a nawet wobec całej produkcyi naszego globu Afryka dostarcza tego metalu jedną czwartą część tylko, to jest tyle wiele go dają mniej więcej Ameryka i Australia, a więcej niż jedną czwartą całej produkcyi dostarcza światu Syberya Inne części Europy i Azyi dają ilości małe, co w każdym razie nie znaczy jakoby tego złota miało tam być mało we wnętrzu ziemi.

Złoto jest mniej więcej wszędzie i wedle tego co twierdzi Weill możnaby go z korzyścią wydobywać w wielu miejscach, gdyby uwaga kapitalistów nie była wyłącznie skierowaną do kilku najgłówniejszych punktów. Między innemi utrzymuje Weill że Węgry mogłyby i w naszych czasach odegrać odnośnie do produkcyi złota tę samą rolę, którą odegrały w starożytności. Spekulacya wielka a hazardowna, może nie miałaby tam zysków doraźnych tych rozmiarów co w Transwaalu naprzykład, ale kapitalista rozważniejszy znalazłby na Węgrzech grunt obfity, przy mniejszem nieporównanie ryzyku.

Możnaby mniemać z tego co widzimy w historyi, że kopalnie złota wyczerpują się bardzo szybko. Tak nie jest. Nieumiejętna eksplóatacya zniechęcała się wszędzie bardzo rychło, czego dowody daje nam starożytność i wieki średnie. W naszych czasach parę ostatnich lat naprzykład dało w summie milion kilogramów złota, a dla wydobycia tej ilości, byłyby z pewnością wieki odległe wyczerpnęły po swojemu Europę, Azyę i połowę Afryki przynajmniej.

Zresztą o obfitości pokładów złota i piasków złotonośnych mówi się i za naszych czasów dosyć dowolnie. Milionerzy Transwalscy traktują swój teren tak jak gdyby go uważali za niewyczerpany, podczas gdy uczeni bardzo się co do tego wyrażają ostrożnie.

Eksploatacya złota od bardzo już dawnych czasów wzrasta ciągle, od czasu mianowicie odkrycia Ameryki. Pod koniec XV wieku obliczano ją na 5,000 kilo, w XVIII stuleciu wiemy już 20,000 dobywanych rocznie i tak to szło mniej więcej aż po datę odkrycia kopalni w Australii i Kalifornii, to jest mniej więcej po rok 1850-ty. Wtedy nastąpiło bardzo szybkie podniesienie się produkcyi od razu na 200,000 kilo, ale po kilku latach zniżyło się znowu do 160,000 rocznie.

Od dziesięciu lat wzrasta i tam eksploatacya do olbrzymiej cyfry, a ostatni 1894 rok wykazuje nam 290,000 kilo złota, co na wartość pieniężną obliczone wynosi 900,000,000 franków.

Rzeczoznawcy przepowiadają ciągłą zwyżkę w produkcyi przez całe jeszcze szeregi lat a może i więcej, ale i to zarazem stawiają jako pewnik, że jeśli nie przybędzie światu nowych okolic obfitujących w złoto, czynność osłabnie w tym kierunku, spekulacya się odsunie, i wieki przyszłe mogą być świadkami nagłego i stałego obniżania się usiłowań ludzkich wyzyskujących tę gałęź przemysłu. Wówczas wartość obiegowa złota zmniejszając się ciągle będzie musiała uciec się do zużytkowania złota znajdującego się w rękach ludzkich pod inną postacią, a jeszcze potem zmuszonym będzie człowiek do uznania jako miarodajnego innego jakiego metalu, i to co nauka nazywa bimetalizmem, zapanuje siłą konieczności.

Udowadnia też Weill, że deprecyacya srebra, której jesteśmy świadkami usprawiedliwia się jedynie spekulacyą, i że to długo trwać nie może a srebro do swojej wartości niezaprzeczonej powrócić będzie musiało. Produkcya srebra wzrasta ciągle. W XVI-em stuleciu wynosiła 300,000 kilo, obecnie cyfra ta doszła do 5,000,000 kilo.

Mylnie sądzą ci, którym się zdaje, że fabrykacya monet przerabia większą część dobywanego złota. Zupełnie nie tak mają się rzeczy; tylko jednę czwartą zaledwie produkcyi rocznej otrzymują na swój użytek mennice całego świata. To też w przemyśle złotniczym i jubilerskim stanowisko swoje zawdzięcza złoto przedewszystkiem temu, że w każdej chwili przedmiot małej wartości artystycznej przerobionym być może na pieniądz, i zawsze tylko swojej wartości monetarnej winno jest złoto swoją cenę.

K.

TO I OWO.

✻ Nową a nie bardzo sprzyjającą zdrowiu modę wprowadzają u siebie ladies angielskie. Jest ona o tyle mniej zrozumiała, że oprócz stwierdzonej szkodliwości nic za nią nie przemawia.

Angielski Saturday-Journal opowiada, że w prawdziwą manię przeszło kobietom angielskim palenie w papierosach liścia herbaty zielonej. Urodziło się to rozumie się w sferach high-lifu miejscowego, który pod względem ekscentryczności nie daje się żadnej próżniaczej koteryi starego i nowego świata wyprzedzić do tej pory.

Pomiędzy mojemi pacyentkami, mówi lekarz podpisany na artykule angielskiego dziennika, dotkniętemi wysokim stopniem newrozy i alarmującej prawdziwie bezsenności, znajduje się młoda kobieta bardzo wybitnego wykształcenia i druga jeszcze, znana w literaturze belletrystycznej autorka. Obie te panie wypalają dziennie od 26 do 30 papierosów z liści herbaty. Jestem lekarzem domu, którego właścicielka, osoba bardzo znana w Londynie, podaje po obiedzie stale papierosy z herbaty, znam także dwie aktorki, które otworzyły u siebie stałe przyjęcia dwa razy w tygodniu, nazywające się: tea smoking. Pewne zgromadzenie kobiet nauki w Kensington utworzyło dla tego nowego sportu osobny klub. Nie jest to, jak powiada ów lekarz, nawet tak tania bardzo ekscentryczność, bo inna pacyentka moja zapewniała mnie, że ją stale tygodniowo kosztują te papierosy 2 funty szterlingi (mniej więcej 20 rubli) Zwyczaj upowszechnia się szybko i składy tytoniu sprzedają już ten towar w dużej ilości.

✻ Bieliznę papierową wyprobowywa obecnie świat dowiedziawszy się o tyle szczególnym zwyczaju, dzięki ostatniej wojnie Chińsko Japońskiej. Japończycy wyrabiają z tego specyalnego papieru całe ubranie spodnie.

W Niemczech uznano, że jest to w porze letniej bielizna zupełnie niemożebna ze względu na temperaturę wysoką, którą daje ciału, co w każdym razie mogłoby ją kwalifikować jako wielce użyteczną w zimowych miesiącach. O trwałości jednak wiemy tyle, że po upływie trzech dni wszystkie szwy były zniszczone. Z tem wszystkiem sfery wojskowe niemieckie zaczynają się bielizną papierową interesować. Jak utrzymują, taniość pozwala na częste zmiany, a lekkość może zastosowanie papieru w porze zimowej zrobić powszechnem w armii. Zobaczymy.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Wydawnictwo MAURYCEGO ORGELBRANDA w Warszawie.

Od dnia 15 Grudnia 1893 r., wychodzi zeszytami w odstępach 15 to dniowych:

Geografia powszechna illustrowana

Amanda Schweiger-Lerchenfelda.

Przełożył i uzupełnił **Dr Karol Jurkiewicz,** b. Profesor Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu.

Geografia powszechna illustrowana wyjdzie w dwóch tomach wielkiego formatu, obejmujących około 1,100 stronnic, z 500 blizko illustracyami w tekście, na wytwornym papierze, drukiem nowym, czystym i wyraźnym. Dla ułatwienia nabycia, wychodzi zeszytami, w liczbie około 45, ukazującemi się co dni 15 po cenie 25 kop. za zeszyt, pocztą kop. 30. Opłacający z góry za całe dzieło rs. 10 lub w dwóch ratach po rs. 5 (przy zapisaniu się i przy odbiorze 15 zeszytu) otrzymają dzieło kompletne, bez względu na liczbę zeszytów.

Za przesyłkę pocztową dopłaca się rs. 2 za całe dzieło. Prenumerujący pocztą, a nie opłacający z góry rs. 12 lub w dwóch ratach po rs. 6 razem z przesyłką, mogą nadsyłać po rs. *dwa* lub *trzy*, a otrzymają za tę kwotę odpowiednią ilość zeszytów. Prenumeratorowie pocztowi otrzymywać będą miesięcznie po 2 zeszyty razem. 4111

Nieporównanej dobroci

MYDŁO TATRZAŃSKIE

w 4-ch pięknych zapachach

FIJOŁEK, RÓŻA, KONWALIA i BUKIET TATRA

specyalność

WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO

Cena kop. 15.

W najwyższym gatunku 25 k. i 45 k.

Dostać można: w mag. W. L. Cb. 1) Miodowa Nr 1. 2) Graniczna Nr 2. 3) Krak.-Przedmieś. Nr 1. 4) Róg Marszałkowskiej i Wspólnej. 382310

Własna Malarnia na Porcelanie

SKŁAD

SZKŁA, PORCELANY,

FAJANSU I MAJOLIKI.

T. Z. OSIŃSKIEGO,

Marszałkowska № 142, w Warszawie.

Poleca: Niebywały wybór ***Serwisów*** stołowych z porcelany i fajansu w zupełnie nowych deseniach i powiększonych kompletach. 41013

Ceny bardzo nizkie

Własna Malarnia na Porcelanie

Najwyżej Zatwierdzone Towarzystwo

Petersburskiej Rektyfikacyi

FABRYKI WÓDEK I LIKIERÓW

KELLER & C°

w Petersburgu,

Dostawcy Dworu Jego Cesarskiej Mości.

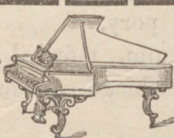
Wino stołowe (czysta wódka) delikatnego i przyjemnego smaku. **Spirytus rektyfikacyjny** chemicz. czysty, **różne Wódki, Koniak i Likiery. Wina ruskie** i zagraniczne.

Kantor i Skład: Marszałkowska № 49, Telefonu 744.

Magazyn detaliczny: Krak. Przedmieś. № 87, Telef. 745, w Warszawie. 39125

Największe w kraju składy





FORTEPIANÓW

PIANIN i MELODYKONÓW

HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, MAZOWIECKA Nr 16.

St-PETERSBURG. MOSKWA. LUBLIN.

WYNAJEM. Sprzedaż na rozpłaty miesięczne poczawszy od rs. 25. WYNAJEM.

Illustrowane katalogi na żądanie gratis i franco. 38546

LUDWIK

w Hotelu Europejskim.

Coiffury modne w obecnym sezonie.
Kwiaty Paryzkie, Egrety fantazyjne.
Grzebienie brylantowe w imitacyi.
Szpilki ozdobne.

CENY NIZKIE. 40912

Biuro Nauczycielskie

JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ 391326

nauczycielki 2-go gimnazyum Szkoła Froeblowska **W Warszawie, Wspólna 40.**

SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M-me NATALIE TISSERANT

wykwalifikowanej mistrzyni przez urząd starszych zgrom. krawców

W WARSZAWIE, WSPÓLNA 24. 40624

Wykład teoretyczny metodą **Worth'a**, przyczem poświęciwszy 4 miesięczny ostatni swój pobyt w Paryżu, rozwijam w dalszym ciągu na wzór paryskiej szkoły **Moniteur de la mode,** praktyczną naukę estetyki pasowania i upinania sukien. Uczennice kończące całkowity kurs otrzymują patenty cechowe. Pensyonarki mają możność korzystania z konwersacyi francuzkiej i fortepianu.

WAŻNE DLA PAŃ

Wachlarze reperuje i najpiękniej odnawia

Zakład Parasolniczo-Reperacyjny

Fr. Ryczera 40433

(dawniej Wisławski)

94 **MARSZAŁKOWSKA** 94

(przy Nowogrodzkiej).

---

413 **Wszystkie Książki i Nuty** przez kogobądź wydane, posiada lub dostarcza prędko i **prenumeraty** przyjmuje Księgarnia i Skład Nut **Maurycego Orgelbranda** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. **Katalogi i Prospekty bezpłatnie.** Tamże **Wypożyczalnia** (czytelnia) **Książek** polskich i francuzkich.

Nowość dla Dam

BIGOULITS

świeżo sprowadzone z Paryża do szybkiego fryzowania włosów bez przypalania, co konserwuje i zapobiega przedwczesnemu siwieniu. Do nabycia w Perfumeryi

„ROMANA,“

5. Mazowiecka 5. 40134

M. POZZI

ZEGARKI i BIŻUTERYA

przyjmuje zamówienia i reperacye oraz złocenia i srebrzenia. 340726

Nowy-Świat 31 (róg Chmielnej).

MILION PIOSENEK.

Wybór najpiękniejszych piosenek. Część I i II. cena po kop 20 pocztą po kop. 25.

SKARBCZYK ULUBIONYCH PIOSENEK.

Wybór najpiękniejszych kupletów z operetek, cena kop. 20, pocztą kop. 25.

Wielki wybór NOWYCH POWINSZOWAŃ

wierszem i prozą na wszystkie uroczystości familijne przez **F. G. Rafalskiego**, cena kop. 25, pocztą kop. 30.

Książki te odznaczają się nader starannym doborem prac umiejętnie ułożonych. Do nabycia w księgarni **Ch. J. Rosenweina**, **Marszałkowska 114** oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi. (Pocztą nadsyłać można markami). 40713

Franciszek Kozłowski

Rymarska 7, róg Leszna, w Warszawie.

WYPOŻYCZAM na wesela, bale, rauty i przyjęcia nakrycia stołowe składające się z porcelany, szkła, plateru, bielizny stołowej oraz KRZESEŁ i Stołów, Lamp Żyrandoli, Świeczników, Kandelabry, Wazony do kwiatów, Półmiski platerowane do majonezu i pieczystego. TACE platerowane i Wazy do mrożenia szampańskiego. 40244

ZNANE Z NIEPORÓWNANEJ DOBROCI

Pączki „Olbrzymy Ananasowe"

! 2½ kop. Sztuka 2½ kop. !

ciągle gorące.

Faworki waniliowe funt 40 kop. 40334
Cukry deserowe funt 50 kop. } z pudełkiem
Pralıny wyborowe f. 60 kop. }
Herbatniki, Biszkopty funt 30 i 40 k.

Poleca w najlepszych gatunkach

FABRYKA

Zygmunta Kraszewskiego

dawniej WINKLER & KRASZEWSKI

Rymarska 16, Marszałkowska 111, Wierzbowa 5, Nowy-Swiat 37.

---

76 **Dla oszczędnych Pań!**

Pranie, Fryzowanie i Farbowanie Piór

Leszno 21, miesz. 5.

Дозволено Цензурою, Варшава 15 Января 18[illegible] Druk Emila Skiwskiego, Warszawa. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. **DODATEK.**